

J. POWALSKI.

## .. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

2

Szczudłowatymi krokami pędził do baraku. Wicherze jadalni we trzech, z kolegami, obok których mieszkał. Zdażał przez stratowaną ziemię, rozbitą dowozami drogą. Już w zmierzchu migotały pomarańczowym światłem drobne szybki w oknach baraku. Dopadł sionki. Mocnym tupaniem i szuraniem starał się oczyścić nieco buty na progu. Wtem potknął się o kogoś w ciemności.

— Co u licha! — wykrzyknął mimowoli. — Kto tam?

— Ady ja, — odrzekł mu ktoś z uszanowaniem się odsuwając.

Głos był znajomy. Młodzieniec poskoczył i otworzywszy na oścież drzwi do izby w młem świetle świecy chciał dojrzeć, kto był.

— Błażej! — krzyknął. — Skąd? Z domu? Ze Strzelców? Sam?

Chłop ogromny, z gęstą czupryną równo obcięta w grzywkę nad czołem, stał przed nim, z batem w ręku.

— Nie samem, proszę panicza, ino z panem jegomością. Ino przez te złe drogi takeśmy się zapózuili, bo wyjechać, tośmy wyjechali rano.

— Gdzie pan?

— Stoją jegomości z bryką wedle pierwszych tych budów na drodze, a mnie posłali szukać panicza, żeby też nas panicz jako przeprowadził, żebyśmy po tych wyboiskach nadarmo wasągu nie tłukli.

Już porucznik nie słuchał, już wybiegł żywo z sieni. Błażej podążył za nim, potykając się raz za razem na nieznanym sobie wybojach i dziurach.

W ciemności dojrzał młodzieniec czarną masę bryki i koni. Dostkoczył, chwytając rękami za brzeg. Na siedzeniu pochylał się ku niemu ciemna postać ojca.

— To ty?

— Ja, tatusiu.

Ojciec zmacał mu głowę, uściśnął. Syn całował jego ręce w milczeniu.

Błażej poprawiał uprzęż na koniach.

— No, — rzekł ojciec nagle, głosem w którym starannie nie dopuścił ani śladu wzruszenia. — Musisz nas Ignasiu przenocować. Idźno naprzód i prowadź, któredy tam na twoją kwatę.

— Nie będzie tatusiowi dobrze, bo bardzo szczupła izdebka — odpowiedział syn, posłusznie idąc ku przodowi i biorąc za lejce przy pysku konia, który zaczął się boczyć i chrapać.

— Idźno, idź — przynaglał ojciec. — Niech cię już o to głowa nie boli.

Ruszyli zrazu w milczeniu. Koła skrzypiały, bryczka przeważała się po dziurach.

— Bo ci, co stoja we wsi, to mają kwatery lepsze, — zauważył jeszcze porucznik zatroskany.

— A ty gdzie?

— Ja w baraku. Ale gdyby tatuś pozwolił, to poproszę jednego z towarzyszy...

— A cóż się uwziął! — zachnął się ojciec. — Weźno powoli, bo ja mam kości nie z żelaza, a droga wasza, widzę, jak las po karczunku.

— Podsypujemy często, ale że to cegłę i rozmaite ciężkie objekta dowożą, więc ciągle się psuje, — usprawiedliwiał się syn.

— Cóż, — spytał ojciec po chwili, — pójdiesz mnie zameldować swemu dowódcy?

— Taka jest instrukcja, — odrzekł syn.

Ojciec lekceważąco machnął ręką. Nie był z amatorów służbistości wojskowej, że tak być musi, uznawał, jednakże traktował ten stan rzeczy z ironią.

Stanęli przed kwaterą porucznika. Młodzieniec poskoczył pomódz ojcu wysiąść. Ale ten odprawił go niecierpliwie:

— Konie ulokuj, ja tu sobie z Grzesiem dam radę.

Wyrostek zeskoczywszy z kozła, już znosił walizy i tłumoki z pościelą do sionki. Porucznik siadł na bryczkę i ruszył.

Gdy wrócił, załatwiwszy formalności, zastał stancję przybraną w domowe, swojskie oblicze. Dobrze znana, stara burka ojca rzucona na ławę, znane poduszki skórzane, znany gruby wołok rozesłany na przygotowanej pościeli. Tłumoki ze startej użyciem skóry zapchnięte w kącie, a na stole, na papierach i księgach rozesłany biały obrusek i rozłożone podróżne wiktuały. Wśród tego paliła się jedna, skąpa świeca. Ojciec coś dobywał jeszcze z walizy.

— No, cóż tam? — powitał go ojciec. — Już na dziś skończył te wasze parady?

— Jeszcze muszę iść do raportu, proszę tatusia.

Objawiając jednym spojrzeniem domowe graty, porucznik zwrócił żywo wzrok na ojca. Właśnie ten przyszedłszy, usiadł przy stole i twarz miał w świetle. Syn został, jak był, z pół wymówionem w ustach słowem, w żalosnem zdumieniu. Twarz ojca była tak nagle postarzona i tak dziwnie obca w nieznanem mu jeszcze białem obramieniu włosów, naczęsanych na czoło i wijących się w pukle za uszami. Wydawała się obojętna, i ta obojętność przeszywała wskrósł serce, jak sztylet. Nowe, głębokie zmarszczki znaczyły obwisłość chudych policzków i zmęczenie głębokich, ciemnych oczu.

Stary pan siedział w postaci swobodnej i z fantazją, widać z przyzwyczajenia nie byle gdzie spędzonej młodości. Nosił się na poły z francuska, ale wedle mody jeszcze z czasów ostatniej rewolucji narodowej, 94 go roku. Miał wąską twarz z wyrazistym czołem i nosem, wygolone, cienkie, zacisnięte wargi, podbródek zanurzony w białe zwoje chustki, związanej w biały fontań na szyi. Nie zwracając uwagi na zmieszanie syna, zaprosił go łagodnie:

Siadajże. Nie lada masz fatygę cały dzień?

Młodzieniec usiadł naprzeciw. Żawiadomił ojca, że żołnierz wnet przyniesie codzienną kolację. Na żądanie zaczął spożywać domowe wiktuały i opowiedział o stanie robót i o wizycie księcia Józefa. Ale miał przetrąconą swobodę i zwykłą raźność i nie mu nie szło. Wkońcu zapytał nieśmiało o dom, o matkę, o rodzeństwo, trwożliwie ale pilnie zważając na twarz i odpowiedź ojca. Stary pan skrzywił się, poruszył ręką, westchnął.

— Et! — rzekł, — co tam gadać. Bieda jak wszędzie, żale jak wszędzie, marność jak zawsze. Odwieczne koleje.

— A mama zdrowa, proszę tatusia?

— Zdrowa.

— Antosia?

— I Antosia.

— A bracia, proszę tatusia?

— Zdaje się, silną mają wokację do żołnierskiej parady, bo ustawiczne widzę musztry, i gonitwy. Strzelanina także całodzienna. — Ot, duch czasu.

Syn zastanowił się, jakiego jeszcze szukać pytania. Coś zaszło, ale jak się tego dowiedzieć? Lękał się być natarczywym. Umilkł.

Ojciec odezwał się:

— Jakże u was, mówią o wojnie?

— Mówią, ale to nic nie wiadomo, proszę tatusia. My tylko tego czekamy. Teraz już ta tylko jedna może być wojna, która nam ojczyznę powróci.

— Hm, — rzekł ojciec. — Cóż będzie, gdy powróciwszy z tej wojny, ojczyznę naprawdę znajdziecie wolną, jednakże w niej ani jednego żywego wieśniaka, czy mieszczanina, czy szlachcica? Jeśli dalej tak pójdzie, jak teraz się zanosi, to wielkie jest podobieństwo, że my tu z głodu wymrzemy, gdy wy nas wyswobadzać pójdziecie.

— To choć umrzemy wolni, — odparł syn gorąco. — Ale może lepiej się to obróci i będziemy żyć wolnymi.

— Tak, — rzekł ojciec zwolna, uśmiechając się, — rzymska cnota. Szczęśliwa młodość wasza, której danem jest, jak ćmom w ogień, lecieć w swoje słońce. Nam przypada natomiast grzebanię w błocie i dumanie, skąd wziąć ten grosz, ten najmarkniejszy? Czy od głupa, spuchłego z głodu, czy z ziemi, której niema czem zorać, czy choćby za ziemię, której już nikt kupić nie chce? A grosz ten bardzo potrzebny, bo to podatek, nie na chleb, nie na długi — tylko na podatek.

— Może będzie urodzaj, — odezwał się syn, z obowiązku powiedzenia czegoś lepszego.

— Może, — powiedział ojciec wątpliwie...

Porucznik pomyślał o raporcie. Ale nie śmiał o nim przypominać. Postanowił wyczekać, aż do ostatniej chwili, a potem przygotować raport pionunem.

— Słuchajno, — rzekł ojciec.

Syn po tonie zrozumiał natychmiast, że teraz dowie się, co zaszło. Jakóż ojciec, chwilę pomilczawszy, powiedział znowu:

— Nadzwyczajne jest obdłużenie wszystkich majątków, a gotówka znikła od nas zupełnie. Grosza znaleźć nie można, gdzie się dawniej tysiące przelewały. Otóż — wiesz, że po śmierci ojca twojej matki, ja, wspólnie z jej bratem objąłem administrację dóbr nieboszczyka na rzecz wierzycieli jego, myśląc tym sposobem co ze schedy uratować dla matki twojej. Jednakże, interesa tak szły z roku na rok, że mnie coraz głębiej pogrążały w odpowiedzialność. Nie mogę nastarczyć wierzycielom i dziada i swoim naraz. Część pretensyj muszę spłacić. Właściem nie wiedział, co począć, gdy mi przyszła na

myśl owa suma, którą mi winien pan Kajetan Zelechowski. On tam teraz w Warszawie służy w biurze, i podobno grubą pobiera płacę, w intendancurze zda mi się, lub może w dyrekcyi żywności pod rządem Wielhorskiego. Zwrócić mi tych kilka tysięcy będzie mu łatwo, a nam to wiele pomoże.

Suma owa była ważną dla porucznika rzeczą. Odsetki od niej ojciec wyznaczył mu jako zasiłek. Przy stałem zaleganiu zółdu, mały ten dochód był jedyną prawie substancją dla porucznika.

— Byleby pan Zelechowski oddał, — pospieszył wyrazić swą gotowość obycia się bez tych pieniędzy.

— Pozbawi cię to procentu, — rzekł ojciec.

— Cóż to znaczy? — odpowiedział z uśmiechem. — Zółd, zdaje mi się, nawet regularniej wydzielają tym, o których wiedzą, że są bez środków.

Obaj nie nastawali dłużej na tę sprawę. Ojciec, chrząknawszy, mówił dalej:

— Najgorszym wierzycielem jest niejaki Pejso z Zegrza. Temu to liczę oddać ową sumę. Tak tedy, jego pozbywszy, stanę swobodniej przed resztą.

— Czy wielu ich jest? — zapytał syn z uszanowaniem.

— Legion, — odrzekł ojciec swobodnie. — Cóż robić. Nie myśmy to pożyczmy i nie my spłacimy. Może i wnuki z tem się nie uporają. Cóż myślisz, takie wojska wystawić, jak myśmy z naszej nędzy wystawili? Łatwo było Polskę zatracić, ale nieskończenie będzie kosztowało znów odzyskać.

Chwilę obaj milczeli.

— Właśnie jadę do Warszawy w tych sprawach, — odezwał się ojciec. — Jutro do świtu wyjadę stąd. Zboczyłem tu do ciebie, bom rad był cię ujrzeć — no i o tych procentach cię uprzedzić. Trudniej ci będzie, ale to już dla nas nie nowina, w naszych czasach.

— O! — rzekł porucznik rzeźwo.

— Gdyby ci jednak kiedy zbrakło — no, to pisz. Poczta do nas wcale akuracie dochodzi. Tylko od Tadeusza tośmy już dawno nic nie mieli.

Był to syn najstarszy, służący w pułku dziewiętnym piechoty, bijącym się w Hiszpanii.

— I ja nic o nim nie słyszałem, — rzekł syn.

— Trudno, — rzekł ojciec, — niby to człowiek zdecydowany na najgorsze, a przecież myśli o najlepszym. Listu jednak chciałbym się doczekać, bo to i dla matki... Dziwnie myśli płacze czekanie.

— Raport! — wspomnił nagle porucznik. — Tatusiu, proszę wybaczyć, muszę raport przygotować, — rzekł szybko.

— Czemużes zaraz nie powiedział?

Porucznik zabrał się co żywo do roboty. Gdy wrócił z raportu, już ojciec leżał. Położył się także. Gdy ułożył się na twardem i wązkim posłaniu, przygotowanem na ławie, zaczął rozmyślać w ciemności izby nad sprawami ojca. I nagle przyszło mu na myśl, że jednakże nie wie jeszcze, skąd ta siwizna niespodziana, w parę miesięcy, i skąd tyle zmarszczek na twarzy. I wśród tego usnął ciężko.

### III.

Zmęczone konie brnęły w błocie bokiem szosy, idąc krok za krokiem. Bryka toczyła się wolno, a stary pan Kleszewski wśród waliz i tłumoków skórzanych, okryty burką pocentkowaną bryzgami błota, patrzył na zatartą we mgle, siną, daleką Warszawę, i rozpoznawał drobnociuchne jeszcze igliczki jej wież.

Srodkiem drogi ciągnął nieskończony tabor wozów z dostawą zboża dla wojska do Modlina. Wydeptanymi po bokach szosy ścieżkami wędrowali w tę samą stronę nędźnie odziani chłopci.

Błażej nie wytrzymał i w przejściu zaczął któregoś: dowiedział się, że idą do Modlina na zarobek. Po chwili, odwracając się, uwiadomił o tem pana. Ten jednak skinął obojętnie ręką, pogrążony w swych dumanach.

Wobec tego Błażej udzielił w cichości swoich uwag Grzesiowi: widać głód w ich okolicy musi być srogi, skoro idą z tak daleka na robotę.

Wyprowadzali tymczasem gęste, obdarte, żydowskie bryki, zaprzężone w szkapę zamęczoną, ledwie ruszające nogami i nędzne fury chłopskie, ciągnięte nierzadko przez jednego wołu. Wkońcu minął ich ogon taboru, idącego do Modlina, i Błażej, cmoknąwszy, ściągnął lejce, wyjechał na środek szosy i ruszył prędzej. Zatrąkotała bryka, poczęło znów bryzgać błoto.

W siwej mgle brzydkiego dnia jesiennego domostwa Pragi, a za nią mury Warszawy na wysokim brzegu wstawały coraz wyraźniej. Zaczął mżyć dokućliwy, zimny deszczyk. Pan Kleszewski otulił się machinalnie burką. Był tak zajęty swymi myślami, złączonemi z widokiem stolicy, że nie zwracał uwagi